

W malinowym chruśniaku, przed ciekawych wzrokiem
Zapodziani po głowy, przez długie godziny
Zrywaliśmy przybyłe tej nocy maliny.
Palce miałaś na oślep skrwawione ich sokiem.

Bąk złośnik huczał basem, jakby straszyl kwiaty,
Rdzawe guzy na słońcu wygrzewał liść chory,
Zlachmianiałych pajęczyn skrzyły się wisiory,
I szedł tyłem na grzbiecie jakiś żuk kosmaty.

Duszno było od malin, któreś, szepcząc, rwała,
A szept nasz tylko wówczas nacichał w ich woni,
Gdym wargami wygarniał z podanej mi dłoni
Owoce, przepojone wonią twego ciała.

I stały się maliny narzędziem pieśzcoty
Tej pierwszej, tej zdziwionej, która w całym niebie
Nie zna innych upojeń, oprócz samej siebie,
I chce się wciąż powtarzać dla własnej dziwoty.

I nie wiem, jak się stało, w którym oka mgnieniu,
Żeś dotknęła mi wargą spoconego czoła,
Porwałem twoje dłonie - oddałaś w skupieniu,
A chruśniak malinowy trwał wciąż dookoła.

* * *

Śledzą nas... Okradają z ścieżek i ustroni,
Z trudem przez nas wykrytych. Gniew nasz w słońcu pała!
Śpieszno nam do łóż szczęścia, do tchów naszych woni,
Chcemy pieśzczot próbować, poznawać swe ciała.

Więc na przekór przeszkodom żrenicą bezradną
Chłoniemy się nawzajem, niby dwa bezdroża,
A gdy powiek znużonych kotary opadną,
Czujemy, żeśmy wyszli z uścisków i z łóża.

Nikt tak nigdy nie patrzył, nie bywał tak blady,
I nikt do dna rozkoszy ciałem tak nie dotarł,
I nie nurzał swych pieśzczot bezdomnej gromady
W takim łóżu, pod strażą takich czujnych kotar!

* * *

Taka cisza w ogrodzie, że się jej nie oprze
Żaden szelest, co chętnie taje w niej i ginie.
Czerwieniata wiewiórka skacze po sośninie,
Żółty motyl się chwije na złotawym koprze.

Z własnej woli, ze śpiewnym u celu łoskotem
Z jabłoni na murawę spada jabłko białe,
Łamiąc w drodze kolejno gałęzie spróchniałe,
Co w ślad za nim - spóźnione - opadają potem.

Chwytasz owoc, zanurzasz w nim zęby na zwiady
I podajesz mym ustom z miłosnym pośpiechem,
A ja gryzę i chłonę twoich zębów ślady,
Zębów, które niezwłocznie odsłaniasz ze śmiechem.

* * *

Hasło nasze ma dla nas swe dzieje tajemne:
Lampa, gdy noc już zdaży świat mrokiem owionąć,
Winna zgasnąć w tej szybie, a w tamtej zapłonąć.
Na znak ten oddech tracę. Już schody są ciemne.

Czekasz z dłonią na klamce i, gdy drzwi otwiera,
Tulę tę dłoń, co jeszcze ma chłód klamki w sobie,
A ty w zamian przyciskasz moje ręce obie
Do serca, które zawsze u drzwi obumiera.

Wchodzę ciszkiem, jak gdyby krok każdy knuł zbrodnię,
Między sprzęty, co dla mnie są sprzętami czarów.
Sama ścielesz swe łóżko według swych zamiarów,
By szczęściu i pieśzczotom było w nim wygodnie.

I zazwyczaj dopóty milczymy oboje,
Dopóki nie dopełnisz podjętego trudu.
Ile w dłoniach twych pieczy, miłości i cudu!
Kocham je, kocham za to, że piękne, że twoje.

* * *

Zazdrość moja bezsilnie po łóżu się miota:

Kto całował twe piersi, jak ja, po kryjomu ?
Czy jest wśród twoich pieśczoł choć jedna pieśczoł,
Której, prócz mnie, nie dałaś nigdy i nikomu ?

Gniewu mego łza twoja wówczas nie ostudzi !
Poniżam dumę ciała i uczuć przepychy,
A ty mi odpowiadasz, że marny i lichy,
Podobny do tysięcy obrzydłych ci ludzi.

I wymykasz się naga. W przyległym pokoju
We własnym się po chwili zaprzepaszczasz łkaniu,
I wiem, że na skłeconym beżładnie pośłaniu
Leżysz jak topielica na twardym dnie zdroju.

Biegnę tam. Łkania milkną. Ciszta niby w grobie.
Zwinieła, na kształt węża, z bólu i rozpaczy
Nie dajesz znaku życia - jeno konasz raczej,
Aż zniemacka za dłoń mnie pociągniesz ku sobie.

Jakże łzami przemokła, znużoną po walce
Dźwigam z nurtów pościeli w ramiona obłądne !
U nóg twych rozemknione pieśczołami palce
Jakże drogie mym ustom i jakże niezbędne !

* * *

Z dłońmi tak splecionymi, jakbyś klęcząc, spała,
W niedostępne mym oczom wpatrzona widzenie,
Płaczesz przez sen i wstrząsem wylęklego ciała
Błagasz o nagłą pomoc, o rychłe zbawienie.

Jeszcze płaczu niesytą do piersi cię tulę,
A ty goisz się we mnie, niby Ignąca rana,
A ja płacz twój całuję, biodra i kolana
I ramię i zsuniętą z ramienia koszulę.

Lecz karmiony ust twoich splakany oddechem,
Nie pytam o treść widzeń. Dopiero z porania
Zadaję ciemną nocą tłumione pytania.
Odpowiadasz beżładnie - ja słucham z uśmiechem.

* * *

Wyszło z boru ślepawie, zjesieniałe zmrocze,
Spłodzone samo przez się w sennej bezzadumie.
Nieoswojone z niebem patrzy w podobłocze
I węższy świat, którego nie zna, nie rozumie.

Swym cielskiem kostropatym kąpie się w kałuży,
Co nęci, jak ożywczych jadów pełna misa,
Czołgłiwymi mackami krew z kwiatów wysysa
I ciekliną swych mętów po ziemi się smuży.

Zwierzę, co trwać nie zdoła zbyt długo na świecie,
Bo wszystko wokół tchnieniem zatruwa i gasi,
Lecz gdy ty białą dłonią głaszczesz je po grzbiecie,
Ono, mrużąc, do stóp twych korzy się i łasi.

* * *

Czasami mojej ślepej posłuszny ochocie
Pragnę w tobie mieć czujną na byle skinięcie
Sługę, co pieśczołami gasi me pragnienie,
A ty jesteś tak zmyślna i zwinna w pieśczołocie!

Gdy twój warkocz, jak w słońcu wybujale ziele,
Tchem rozwartych ogrodów ma duszę owionie,
Głowę twą, niby puchar, ujmuję w swe dłonie
I wargami w ślad dreszczu prowadzę po ciele.

I raduję się, śledząc tę wargę, jak zmierza
Do mej piersi kosmatej, widnej w nieodomroczu,
W której marzę pierś w lesie ryczącego zwierza
I staram się, gdy pieścisz, nie tracić go z oczu.

* * *

Ty pierwej mgły dosięgasz, ja za tobą w ślady
Zdążam, by się w tym samym zaprzepaścić lesie,
I tropiąc twoją bladość, sam się staję blady,
I zdybawszy twój bezkres, sam ginę w bezkresie.

A potem wzieram w oczy, by zgadnąć, czy dość ci

Omdlenia, co się nogom udziela, jak szczęście,
I twe dłonie, jak w paki, mnę w zdrobniałe pięście,
By się w nich docałowac twych chrząstek i kości.

A one wypukleją na dłoni przegibie,
Niby pestki owoców, zróżowionych znojem,
I nieśmiałym do ust mych garną się wyrojem,
Zatajone w swej ciepłej od pieśczoł siedzibie.

Ich dotyk budzi wzruszeń zaniedbanych krocie,
A ty, tuląc je w warg mych rozrzuwioną ciszę,
Dziecinniejesz w uścisku, malejesz w pieśczołcie,
Chwila - a już cię do snu z lat dawnych kołyszę.

* * *

Zazdrośnicy daremnie chcą pochlebić pierwi
Czarom skrytym w twym ciełe z moją o nich wiedzą!
Oczy, co się rzęsami nie tknęły twych piersi,
Czyliż pustym domysłem te czary wysledzą?

Kto w chwili pocałunków nie zagrzał swej dłoni
Na twych bioder nawrzałej żądzą przegięcinie.
Nie potrafi określić upojeń tej woni,
Co z ciebie, jako z róży, snem potartej, płynie.

Kto ustami w nóg twoich nie wdumał się dreszczę,
Nigdy dość nie wysłowi twych oczu omdlenia,
A choćby je dzień cały badał bez wytchnienia,
Nie wypatrzy z nich tego, co ja z nich wypieszczę!

* * *

Zmienionaż po rozłące ? O, nie, nie zmieniona !
Lecz jakiś kwiat z twych włosów zbiegł do stóp ołtarzy,
A, choć brak tego zbiega nie skalał twej twarzy
Serce me w tajemnicy przed twym sercem kona...

Dusza twoja śmie marzyć, że, w gwiezdne zamiecie
Wdumana, będzie trwała raz jeszcze i jeszcze -
Lecz ciało ? Któż pomyśli o nim we wszechświecie,
Prócz mnie, co tak w nie wierzę i kocham, i pieśczoł ?

I gdy ty, szepcząc słowa, z ust zrodzone znoju,
Dajesz pieśczołom ujście w tym szepcie, co pała,
Ja, zamilkły wargami u piersi twych zdroju,
Modłę się o twójego nieśmiertelność ciała.